

TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

OGRÓD KOŚCI



Makabryczny sekret, który przeleżał w ziemi prawie dwieście lat.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE BONE GARDEN

Copyright © Tess Gerritsen 2007
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2009

Redakcja: Beata Słama

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

Zdjęcie na okładce: borzywoj/Shutterstock

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



20 marca 1888 roku

Najdroższa Margaret!

Dziękuję za szczere kondolencje, które raczyłaś mi przesłać w związku ze stratą mojej ukochanej Amelii. To była dla mnie szczególnie ciężka zima – co miesiąc odchodzą z powodu chorób i podeszłego wieku kolejni starzy przyjaciele. Teraz z najgłębszym smutkiem muszę myśleć o szybko ulatujących latach, które jeszcze mi pozostały.

Zdaję sobie sprawę, że mam być może ostatnią szansę, by poruszyć trudny temat, o którym dawno już powinienem wspomnieć. Woląłem milczeć, bo Twoja ciotka uważała, że najlepiej będzie nic Ci nie mówić. Wierz mi, kierowała nią wyłącznie miłość, chciała Cię chronić. Znam Cię od dziecka, droga Margaret, i widziałem, jak wyrastałaś na nieustraszoną kobietę. Wiem, że wierzysz niezłomnie w siłę prawdy. Dlatego ufam, że będziesz chciała poznać tę historię bez względu na to, jak bardzo Cię poruszy.

Od tamtych wydarzeń minęło pięćdziesiąt osiem lat. Byłaś wtedy niemowlęciem i nie możesz ich pamiętać. Sam niemal o nich zapomniałem. Ale w ostatnią środę znalazłem wycinek z gazety, który przeleżał przez te wszystkie lata wetknięty w stary egzemplarz Anatomii Wistara, i uświadomiłem sobie, że jeśli

szybko tej historii nie opowiem, prawie na pewno zabiorę ją ze sobą do grobu. Po śmierci Twojej ciotki jestem teraz jedyną żyjącą osobą, która wie, co się zdarzyło. Wszyscy inni już umarli.

Muszę Cię ostrzec, że szczegóły tej opowieści nie są przyjemne. Ale jest w niej wiele szlachetności i wzruszającej odwagi. Pewnie nie przypisywałaś ciotce takich cech. Wydawała się niewątpliwie równie zwyczajna, jak każda siwowłosa staruszka, którą mija się na ulicy. Ale zapewniam Cię, że zasługiwała w pełni na nasz szacunek.

Być może bardziej niż jakakolwiek kobieta, którą znałem.

Robi się późno, a po zmroku oczy starca nie mogą długo pozostawać otwarte. Na razie załączam wycinek, o którym wcześniej wspominałem. Jeśli nie masz ochoty dowiedzieć się więcej, powiedz mi, proszę, to nie będę do tej sprawy wracał. Ale jeżeli losy Twoich rodziców naprawdę Cię interesują, przy najbliższej okazji znów chwycę za pióro. I poznasz historię, prawdziwą historię Twojej ciotki i Anioła Śmierci z West Endu.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

O.W.H.

Rozdział pierwszy

Współcześnie

A więc tak kończy się małżeństwo, pomyślała Julia Hamill, wbijając łopatę w ziemię. Nie słodkimi szeptami na do widzenia, czułymi uściskami artretycznych dłoni po czterdziestu wspólnych latach ani płaczem dzieci i wnuków, zgromadzonych wokół szpitalnego łóżka. Uniosła łopatę, odrzucając na bok kupkę ziemi. Kamienie zachręściły na usypanym przez nią kopcu. Sama glina i skały. Ta ziemia nadaje się tylko do uprawiania krzaków jeżyn. Jest nieurodzajna jak jej małżeństwo, z którego nie wyrosło nic trwałego, nic wartościowego.

Wbijając kopniakiem łopatę w ziemię, usłyszała zgrzyt metalu o kamień i poczuła ciarki na plecach. Próbowwała kopać z różnych stron, ale kamień ani drgnął. Wpatrywała się zniechęcona i spocona w dziurę w ziemi. Przez cały ranek kopała jak opętana i miała już pod skórzanymi rękawicami pęcherze. Z poruszonej gleby wzbiła się chmara komarów; brzęczały wokół jej twarzy i wplątywały się we włosy.

Nie było innego wyjścia. Jeśli chce założyć w tym miejscu ogród, jeśli chce zmienić wygląd zachwaszczonego podwórka, musi usunąć kamień, który jej przeszkadza.

Wydało jej się nagle, że nie podoła temu zadaniu. Rzuciła łopatę i przysiadła ciężko na kopcu kamienistej ziemi. Dlaczego

sądziła, że potrafi odnowić ten ogród, ocalić ten dom? Spojrzała na gąszcz chwastów, zapadnięty ganek i spróchniałe deski. Powinna nazwać ten dom Szaleństwem Julii. Kupiła go, gdy nie była w stanie rozsądnie myśleć, bo jej życie się rozpadało. Co szkodzi dorzucić trochę szczątków do rozbitego wraku? To miała być nagroda pocieszenia za przeżycie rozvodu. W wieku trzydziestu ośmiu lat Julia kupowała w końcu dom na swoje nazwisko, dom z przeszłością, z duszą. Gdy oglądała go po raz pierwszy z pośredniczką z biura sprzedaży nieruchomości, kiedy zobaczyła ręcznie ciosane krokwie i dostrzegła kawałek starej tapety, wystający spod wielu później położonych warstw, wiedziała już, że ten dom jest niezwykle. Przywoływał ją, prosząc o pomoc.

– Jest idealnie położony – zachwalała pośredniczka. – Działka ma cztery tysiące metrów kwadratowych, co tak blisko Bostonu należy dziś do rzadkości.

– Więc dlaczego nikt go dotąd nie kupił? – spytała Julia.

– Widzi pani, w jakim jest złym stanie. Kiedy pojawił się w ofercie, był wypełniony po sufit stertami pudeł z książkami i starymi papierami. Spadkobiercy przez miesiąc je wywozili. Oczywiście dom wymaga gruntownego remontu, łącznie z fundamentami.

– Cóż, podoba mi się to, że ma ciekawą przeszłość. Nie zniechęciłaby mnie do kupienia go.

Pośredniczka zawahała się.

– Powinna pani wspomnieć o jeszcze jednej sprawie. Żeby wszystko było jasne.

– O jakiej sprawie?

– Poprzednią właścicielką była dziewięćdziesięcioletnia staruszka, która... tutaj umarła. To trochę zraża potencjalnych nabywców.

– Miała dziewięćdziesiątkę? A więc umarła śmiercią naturalną?

– Prawdopodobnie.

Julia uniosła brwi.

– Nie wiadomo na pewno?

– To zdarzyło się latem. Dopiero po trzech tygodniach jeden z jej krewnych odkrył... – Pośredniczka urwała w pół zdania. Nagle jednak się rozpromieniła. – Ale proszę spojrzeć, jakie to niezwykle miejsce. Może pani zburzyć ten dom, pozbyć się go i wybudować nowy!

Podobnie jak świat pozbywa się takich jak ja starych żon, pomyślała Julia. Ten wspaniały, zrujnowany dom zasługuje wraz ze mną na lepszy los.

Tego samego popołudnia podpisała umowę kupna.

Teraz, siedząc na kopcu ziemi i oganiając się od komarów, myślała: W co ja się wpakowałam? Gdyby Richard zobaczył tę ruinę, utwierdziłby się tylko w przekonaniu, że miał o niej właściwe zdanie. Naiwna Julia, usidlona przez biuro sprzedaży nieruchomości. Dumna właścicielka hałdy śmieci.

Przetarła dłonią oczy, rozmazując pot na policzku. Potem znów spojrzała na dziurę. Jak może się spodziewać, że uporządkuje swoje życie, skoro nie potrafi zebrać sił, by usunąć jeden głupi kamień?

Podniosła rydel i pochyliwszy się nad dziurą, zaczęła odgarniać ziemię. Odłoniła część kamienia, jak czubek góry lodowej, której wielkość trudno odgadnąć. Mogła być wystarczająco duża, by zatopić *Titanica*. Julia kopała dalej, coraz głębiej, nie zważając na komary i słońce, przypiekające jej nieosłoniętą głowę. Ten kamień stał się nagle symbolem wszystkich przeszkód, wszystkich wyzwań, przed którymi się cofała.

Nie dam ci się pokonać.

Wygarniała rydlem ziemię spod kamienia, próbując uzyskać dość wolnej przestrzeni, by wsadzić tam łopatę. Kosmyki włosów opadały jej na twarz i kleiły się do spoconej skóry, gdy

sięgała coraz głębiej, wygrzebując tunel. Zanim Richard zobaczył to miejsce, ona zamieniła je w raj. Dopiero za dwa miesiące będzie musiała stanąć przed kolejną grupą trzecioklasistów. Miała dwa miesiące, żeby powyrywać chwasty, użyźnić ziemię, posadzić róże. Richard powiedział jej, że gdyby kiedykolwiek zasadziła róże na podwórku ich domu w Brookline, nie przeżyłyby. Trzeba wiedzieć, co się robi, dodał. Była to tylko zdawkowa uwaga, ale ją zabolowała. Zdawała sobie sprawę, co miał na myśli.

Trzeba wiedzieć, co się robi. A ty nie wiesz.

Położyła się na brzuchu i nadal kopała. Rydel natrafił na coś twardego. Boże, byle nie kolejny kamień. Odgarnawszy włosy, próbowała zobaczyć, w co uderzyła narzędziem. Metalowa końcówka rydla uszkodziła powierzchnię jakiegoś przedmiotu. Od miejsca uderzenia rozchodziły się promieniście pęknięcia. Po usunięciu ziemi i kamieni Julia odsłoniła nienaturalnie gładką kopułę. Leżąc na brzuchu, czuła, jak od gwałtownego bicia serca drży pod nią ziemia, i nagle zaczęło brakować jej tchu. Kopała jednak dalej, teraz już rękami, drapiąc palcami w rękawiczkach oporną glinę. Ukazały się zaokrąglone ścianki kopuły, jakby zszyte nierównym ściegiem. Grzebiąc coraz głębiej, poczuła przyspieszony puls, gdy natrafiła na niewielki otwór zasklepiony ziemią. Zdjęła rękawiczkę i szturchnęła palcem skorupę zaschniętego błota. Warstwa ziemi pękła nagle i rozsypała się.

Julia cofnęła się gwałtownie i uklękła, wpatrzona w to, co odkryła. Komary brzęczały coraz natarczywiej, ale już ich nie odganiała i była zbyt otępieła, by czuć ich ukąszenia. Wiatr muskał trawę, przesycając powietrze słodkim zapachem trybuli. Julia spojrzała na swoją zachwaszczoną posiadłość, miejsce, które miała nadzieję zamienić w raj. Wyobrażała sobie olśniewający ogród pełen róż i piwonii, altanę obrosniętą fioletowymi klematisami. Ale patrząc teraz na podwórko przed

domem, nie widziała już ogrodu.

Widziała cmentarz.

□ □ □

– Mogłaś zapytać mnie o radę, zanim kupiłaś tę rudę – powiedziała jej siostra Vicky, siedząc przy stole w kuchni.

Julia stała przy oknie, wpatrując się w kopce ziemi, które wyrastały jak stożki małych wulkanów w ogrodzie na tyłach domu. Przez ostatnie trzy dni ekipa z Biura Lekarza Sądowego obozowała praktycznie na terenie jej posesji. Tak już przywykła do ich ciągłych wizyt w toalecie, że będzie jej tego brakowało, gdy skończą wykopaliska i znów zostawią ją samą w tym domu, z jego ciosanymi ręcznie krokwiami i historią. I duchami.

Doktor Isles, lekarka sądowa, właśnie przyjechała i szła w kierunku wykopalisk. Julia pomyślała, że to niepokojący typ kobiety, nieokazującej ani przyjaźni, ani wrogości. Miała bladą cerę i kruczoczarne włosy. Robi wrażenie spokojnej i opanowanej, pomyślała Julia, obserwując ją przez okno.

– To do ciebie niepodobne, żeby tak pochopnie decydować – ciągnęła Vicky. – Akceptujesz ofertę od razu pierwszego dnia? Sądziłaś, że ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa? – Wskazała wykrzywione drzwi do piwnicy. – Nawet się nie zamykają. Sprawdziłaś fundamenty? Ten dom musi mieć ze sto lat.

– Sto trzydzieści – mruknęła Julia, nadal patrząc na podwórko, gdzie doktor Isles stała na krawędzi wykopu.

– Och, kochanie – rzuciła Vicky łagodniejszym tonem. – Wiem, że przeżyłaś ciężki rok. Wiem, przez co przechodzisz. Szkoda tylko, że nie zadzwoniłaś do mnie przed podjęciem tak radykalnej decyzji.

– To całkiem niezła posiadłość – upierała się Julia. – Ma cztery tysiące metrów kwadratowych. I jest blisko miasta.

– A na podwórku jest szkielet. To niewątpliwie podniesie jej

wartość rynkową.

Julia pomasaowała sobie kark, czując napięcie mięśni. Vicky miała rację. Jak zawsze. Włożyłam w ten dom wszystkie oszczędności, pomyślała, a teraz jestem dumną właścicielką nawiedzanej posesji. Zobaczyła przez okno, że na działce zjawiała się następna osoba. Była to starsza kobieta z krótkimi siwymi włosami, ubrana w dzinsy i ciężkie robocze buty – strój, jakiego u kogoś w tym wieku nikt się raczej nie spodziewa. Jeszcze jedna dziwna postać, kręcąca się koło jej domu. Kim są ci ludzie, których przyciągają zmarli? Dlaczego wybrali zawód, w którym stykają się codziennie z koszmarami przyprawiającymi innych o gęśią skórę?

– Rozmawiałas z Richardem, zanim kupiłaś ten dom?

Julia znieruchomiała.

– Nie, nie rozmawiałam z nim.

– Odzywał się do ciebie ostatnio? – spytała Vicky. Powiedziała to tak zmienionym tonem, cichym, niemal niepewnym, że Julia spojrzała w końcu na siostrę.

– Dlaczego pytasz? – odparła.

– Byłaś jego żoną. Nie dzwonisz do niego czasem, żeby zapytać, czy nie przyszły jakieś listy dla ciebie albo coś takiego?

Julia opadła na krzesło.

– Nie dzwonię do niego. Ani on do mnie.

Przez chwilę Vicky nic nie mówiła. Siedziała w milczeniu, gdy Julia opuściła wzrok.

– Przepraszam – odezwała się w końcu. – Przykro mi, że wciąż cierpisz.

Julia zaśmiała się.

– No cóż, mnie też jest przykro.

– Minęło już pół roku. Myślałam, że zdążyłaś o nim zapomnieć. Jesteś bystra, miła, powinnaś znów być w obiegu.

To była cała Vicky. Przebojowa dziewczyna, która pięć dni

po operacji wyrostka wpadła na salę sądową, by poprowadzić do zwycięstwa swój zespół adwokatów. Nie pozwoliłaby, by taki drobiazg jak rozwód zepsuł jej tydzień.

– Szczerze mówiąc – Vicky westchnęła – nie jechałam taki kawał drogi tylko po to, żeby zobaczyć twój nowy dom. Jesteś moją młodszą siostrą i jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. O czym masz prawo wiedzieć. Nie jestem tylko pewna, jak... – Przerwała, spoglądając na kuchenne drzwi, do których ktoś właśnie zapukał.

Otworzywszy je, Julia zobaczyła doktor Isles, która mimo upału wykazywała chłodne opanowanie.

– Chciałam panią zawiadomić, że moja ekipa dziś wyjeżdża – powiedziała.

Julia spojrzała na rozkopany dziedziniec i zobaczyła, że ludzie doktor Isles pakują sprzęt.

– Skończyliście? – spytała.

– Odkryliśmy wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że to nie jest przypadek dla lekarza sądowego. Przekazałam sprawę doktor Petrie z Harvardu. – Isles wskazała starszą kobietę, która niedawno przyjechała, tę w dżinsach.

Vicky podeszła do drzwi.

– Kim jest doktor Petrie?

– Sądową antropolożką. Dokończy prace wykopaliskowe w czysto naukowych celach. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– A więc te kości są stare?

– Z pewnością nie jest to świeży pochówek. Może zechcą panie spojrzeć?

Vicky i Julia ruszyły za doktor Isles po zboczu. Po trzech dniach kopania dziura wyglądała jak głęboki szyb. Na brezencie leżały ułożone szczątki.

Chociaż doktor Petrie musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt

lat, podniosła się sprawnie i podeszła się z nimi przywitać.

– Pani jest właścicielką domu? – spytała Julię.

– Właśnie go kupiłam. Przeprowadziłam się w zeszłym tygodniu.

– Ma pani szczęście – odparła Petrie i wyglądało na to, że naprawdę tak myśli.

– Przesiewając ziemię, znaleźliśmy parę rzeczy – oznajmiła doktor Isles. – Kilka starych guzików i ozdobną klamrę, najwyraźniej bardzo starą. – Sięgnęła do pudła z dowodami, stojącego obok kości. – A dzisiaj odkryliśmy to. – Wyjęła niewielką zapinaną na zamek foliową torebkę. Julia zobaczyła przez plastik lśniące wielobarwne kamienie jubilerskie.

– To pierścionek od wielbiciela – wyjaśniła doktor Petrie. – Biżuteria akronimiczna była we wczesnej epoce wiktoriańskiej bardzo modna. Pierwsze litery nazw kamieni tworzyły jakieś słowo. Na przykład szmaragd, agat i rubin stanowiły skróty imienia Sara. Taki pierścionek dawało się jako dowód uczucia.

– Czy to kamienie szlachetne?

– Och, nie. To prawdopodobnie tylko kolorowe szkiełka. Pierścionek nie jest grawerowany. Pochodzi z masowej produkcji.

– Czy ten pochówek gdzieś odnotowano?

– Wątpię. Był raczej nietypowy. Nie ma nagrobka ani resztek trumny. Tę kobietę owinięto po prostu w kawałek skóry i pogrzebano. Dość bezceremonialnie, jak na osobę, którą ktoś kochał.

– Może była biedna?

– Ale dlaczego wybrano akurat to miejsce? Nigdy nie było tu cmentarza. Tak przynajmniej wynika z map historycznych. Pani dom ma około stu trzydziestu lat, zgadza się?

– Został zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku.

– Pierścionki z akronimami były modne w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku.

– Co tu było w tym czasie? – spytała Julia.

– Wiejska posiadłość, należąca do znanej bostońskiej rodziny. Były to w większości pastwiska, ziemie uprawne.

Julia spojrzała na zbocze, gdzie między kwiatami trybuli i wyki latały motyle. Próbowala sobie wyobrazić, jak to miejsce musiało kiedyś wyglądać. Otwarte pole, opadające w kierunku ocienionego drzewami strumienia, ze skubiącymi trawę owcami. Miejsce, gdzie pojawiały się tylko zwierzęta. Gdzie grób zostałby szybko zapomniany.

Vicky spoglądała na kości z obrzydzeniem.

– Czy to szczątki... jednej osoby?

– Kompletny szkielet – odparła Petrie. – Pochowano ją na tyle głęboko, że nie padła łupem padlinożerców. Na tym zboczach ziemia jest dobrze osuszona. Poza tym, sądząc z zachowanych resztek, ta kobieta była owinięta w jakąś zwierzęcą skórę, a stosowana jako garbnik tanina ma właściwości konserwujące.

– Kobieta?

– Tak. – Petrie podniosła wzrok, mrużąc przed słońcem bystre niebieskie oczy. – To szczątki kobiety. Zważywszy na uzębienie i stan jej kręgosłupa, była dość młoda, z pewnością nie przekroczyła trzydziestu pięciu lat. Szkielet jest w sumie w zaskakująco dobrym stanie. – Petrie spojrzała na Julię. – Jeśli nie liczyć pęknięcia czaszki, którą uszkodziła pani rydlem.

Julia się zaczerwieniła.

– Myślałam, że to kamień.

– Nietrudno jest rozróżnić stare i nowe pęknięcia. Proszę spojrzeć. – Petrie znów przykucnęła i podniosła czaszkę. – To, które pani spowodowała, jest tutaj i nie ma w tym miejscu żadnych płam. Ale widzi pani pęknięcie na kości ciemieniowej? I jeszcze jedno tu, na kości licowej, pod policzkiem. Ich powierzchnie mają brązowe plamy z powodu długiego kontaktu z ziemią. To oznacza, że powstały przed śmiercią tej kobiety, a nie podczas

wykopalisk.

– Przed śmiercią? – Julia spojrzała na nią. – Chce pani powiedzieć...

– Jej zgon spowodowały niemal na pewno ciosy w głowę. Moim zdaniem została zamordowana.

□ □ □

Julia nie mogła zasnąć, nasłuchując skrzypienia starych podłóg i odgłosów wydawanych przez myszy między ścianami. Ten grób był jeszcze starszy niż dom. Gdy zbijano krokwie i kładziono sosnowe podłogi, zaledwie kilkanaście kroków dalej rozkładało się już w ziemi ciało nieznanej kobiety. Czy ktoś zdawał sobie sprawę, że tam jest, kiedy stawiano dom? Czy był w tym miejscu jakiś nagrobek?

A może nikt o niej nie wiedział? Nikt jej nie pamiętał?

Julia odrzuciła kołdrę i leżała spocona na materacu. Mimo obu otwartych okien w sypialni brakowało powietrza. Nawet najlżejszy powiew wiatru nie łagodził upału. W ciemności migotał świetlik, krążąc rozpaczliwie po pokoju w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Usiadła na łóżku i zapaliła lampę. Magiczne iskierki nad jej głową zmieniły się w zwykłego brązowego owada, latającego pod sufitem. Rozważała, jak go złapać, by go nie zabić, i zastanawiała się, czy życie jednego samotnego świetlika warto jest jej wysiłku.

Zadzwonił telefon. O wpół do dwunastej mogła dzwonić tylko jedna osoba.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam – powiedziała Vicky. – Wróciłam właśnie do domu po ciągnącej się w nieskończoność kolacji.

– I tak nie mogę spać przez ten upał.

– Julio, chciałam ci coś powiedzieć, kiedy u ciebie byłam. Ale nie mogłam przy tych wszystkich ludziach.

– Nie dawaj mi już rad na temat domu, dobrze?

– Nie chodzi o dom, tylko o Richarda. Przykro mi, że akurat ode mnie musisz to usłyszeć, ale na twoim miejscu wołałabym wiedzieć. Nie powinnaś dowiadywać się tego pocztą pantoflową.

– Czego?

– Richard się żeni.

Julia zacisnęła słuchawkę w dłoni tak mocno, że zdrętwiała jej palce. W ciszy, która zaległa, słyszała pulsowanie krwi w swoich skroniach.

– A więc nie wiedziałaś.

– Nie – wyszeptwała.

– Ależ z niego gnojek – mruknęła Vicky z goryczą, która wyrażała uczucia ich obu. – Słyszałam, że planuje ślub już od miesiąca. Z dziewczyną o imieniu Tiffani, pisany przez „i”. Cóż za egzaltacja! Nie mam szacunku dla faceta, który żeni się z Tiffani.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać tak szybko.

– Och, kochanie, to oczywiste, prawda? Musiał już się z nią spotykać, kiedy jeszcze byliście małżeństwem. Czy nie zaczął nagle przychodzić późno do domu? Poza tym często wyjeżdżał służbowo. Zastanawiało mnie to. Ale nie miałam serca ci mówić.

Julia przeknęła ślinę.

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

– Powinnam była się domyślić. Mężczyzna nie domaga się rozwodu tak nieoczekiwanie.

– Dobranoc, Vicky.

– Hej, dobrze się czujesz?

– Po prostu nie mam ochoty na rozmowę. – Julia odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższy czas siedziała bez ruchu. Światlik nadal krążył nad jej głową, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki ze swojego więzienia. W końcu straciłby siły i zginąłby w tym pokoju, pozbawiony jedzenia i wody.

Stanęła na materacu. Gdy świetlik przelatywał bliżej, chwyciła go. Trzymając owada w zamkniętych dłoniach, poszła boso do kuchni i otworzyła drzwi na tyłach domu. Stanąwszy na ganku, wypuściła świetlika. Odleciał w mrok, trzepocząc skrzydełkami. Już nie migotał, skoncentrowany tylko na ucieczce.

Czy wiedział, że ocaliła mu życie? Na tyle było ją stać.

Pozostała na ganku, wdychając nocne powietrze i myśląc z niechęcią o powrocie do dusznej małej sypialni.

Richard się żenił.

Oddech uwiązał jej w gardle i nagle zaczęła szlochać. Chwyciła za poręcz i poczuła, jak drzazgi wbijają jej się w palce.

I ja dowiaduję się ostatnia.

Wpatrując się w ciemność, pomyślała o kościach zakopanych w ziemi zaledwie kilkanaście metrów dalej. O kobiecie, której imienia nikt już nie pamięta. O zimnej glebie, przygniatanej całunem śniegu, o zmianach pór roku i przemijaniu kolejnych dekad, o rozkładającym się ciele zjadanym przez robaki. Jestem tak samo jak ty zapomnianą kobietą, pomyślała.

I nawet nie wiem, kim byłaś.

Rozdział drugi

Listopad 1830 roku

Śmierć przybywała ze słodkim dźwiękiem dzwoneczków.

Rose Connolly przejmował on lękiem, bo słyszała go już zbyt wiele razy, siedząc przy szpitalnym łóżku siostry, ocierając jej czoło, trzymając ją za rękę i podsuwając jej do ust wodę. Codziennie te przekłète dzwonki, którymi potrząsał ministrant, zwiastowały pojawienie się na oddziale księdza udzielającego komunii i sakramentu ostatniego namaszczenia. Choć Rose miała dopiero siedemnaście lat, przez ostatnie pięć dni widziała cały ocean ludzkich cierpień. W niedzielę umarła Nora, trzy dni po narodzinach jej wątłego dziecka. W poniedziałek leżąca w głębi oddziału dziewczyna o kasztanowych włosach skoła tak szybko po porodzie, że nie było szansy zapytać jej nawet, jak się nazywa, zwłaszcza gdy rodzina rozpaczała, niemowlę darło się jak opętane, a przedsiębiorca pogrzebowy zbijał na dziedzińcu trumnę. We wtorek, po czterech dniach gorączki, spowodowanej wydaniem na świat syna, rozstała się w końcu z życiem Rebecca, ale przedtem Rose musiała znosić odrażający smród wydzielin, sączących się z jej krocza i zasychających na pościeli. Cały oddział cuchnął potem i zapachem ropiejących ran. Późną nocą, gdy na korytarzach odbijały się echem jęki konających, Rose budziła się nagle z ciężkiego snu i stwierdzała, że rzeczywistość jest

bardziej przerażająca niż jej koszmary. Dopiero gdy wychodziła na dziedziniec i oddychała głęboko rześkim powietrzem, mogła uciec od szpitalnego zaduchu.

Ale musiała zawsze wracać do tych okropności. Do siostry.

– Znowu dzwonki – wyszeptwała Aurnia, mrugając zapadniętymi oczami. – Która biedaczka tym razem?

Rose spojrzała w głąb sali, gdzie wokół jednego z łóżek zaciągnięto pospiesznie zasłonę. Zauważyła przed chwilą, jak siostra Mary Robinson ustawia na stoliku świece i krucyfiks. Nie widziała księdza, ale słyszała, jak mruczy za zasłoną, i czuła zapach płonącego wosku.

– Niech przez swą wielką łaskę Bóg wybaczy ci wszelkie grzechy, jakie popełniłaś...

– Która to? – spytała znowu Aurnia. Zdenerwowana, próbowała się podnieść, by zobaczyć rząd łóżek.

– Obawiam się, że Bernadette – odparła Rose.

– Och, nie!

Rose uścisnęła dłoń siostry.

– Może przeżyje. Trzeba mieć nadzieję.

– A dziecko? Co z dzieckiem?

– Chłopiec jest zdrowy. Nie słyszałaś, jak krzyczał rano w kołysce?

Aurnia opadła z westchnieniem na poduszkę. Powietrze, które wydychała, wydzielало odór śmierci, jakby jej ciało gniło już od środka, a narządy ulegały rozkładowi.

– Choć w tym Bóg jej pobłogosławił – stwierdziła.

Cóż to za błogosławieństwo? Że chłopiec zostanie sierotą? Że jego matka od trzech dni jęczy z bólu, mając rozdęty brzuch z powodu gorączki połogowej? W ciągu ostatniego tygodnia Rose widziała o wiele za dużo takich „błogosławieństw”. Jeśli to był dowód dobroci Boga, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nie wypowiedziała jednak w obecności siostry takiego bluźnierstwa.

Właśnie wiara pozwoliła Aurni przetrwać ostatnie miesiące, zniewagi ze strony męża i te noce, gdy Rose słyszała jej cichy płacz zza prześcieradła zawieszonego między ich łózkami. Co biedaczce przyszło z wiary? Gdzie był Bóg przez te wszystkie dni, gdy Aurnia próbowała na próżno urodzić pierwsze dziecko?

Boże, jeśli słyszysz modlitwy przyzwoitej kobiety, dlaczego pozwalasz jej cierpieć?

Rose nie oczekiwała odpowiedzi i nie otrzymała jej. Słyszała tylko daremne pomrukiwania księdza zza zasłony otaczającej łóżko Bernadette.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, przez położenie na ciebie rąk i za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny, Matki Boga, wyzwalam cię z mocy Szatana.

– Rose? – szepnęła Aurnia.

– Tak, kochanie?

– Bardzo się boję, że moja pora też już nadeszła.

– Pora na co?

– Na księdza. Spowiedź.

– A jakież to grzechy mogą cię trapić? Bóg zna twoją duszę, kochanie. Sądzisz, że nie widzi twojej dobroci?

– Och, Rose, nie znasz wszystkich moich win! Nie wiesz o sprawach, o których wstydzę się ci powiedzieć! Nie mogę umrzeć bez...

– Nie mów mi o śmierci. Nie możesz się poddawać. Musisz walczyć.

Aurnia odpowiedziała słabym uśmiechem i dotknęła ręki siostry.

– Moja mała Rosie. Nigdy nie czuje strachu.

Ale Rose się bała. Bała się potwornie, że siostra ją opuści. Ogarniał ją rozpaczliwy lęk, że gdy Aurnia otrzyma ostatnie namaszczenie, przestanie walczyć i się podda.

Aurnia zamknęła oczy i westchnęła.

– Zostaniesz przy mnie tej nocy?

– Oczywiście.

– A Eben? Nie przyszedł?

Ręka Rose zastygła w napięciu na dłoni Aurni.

– Naprawdę chcesz go tu widzieć?

– Jesteśmy ze sobą związani. Na dobre i złe.

Głównie na złe, chciała powiedzieć Rose, ale się powstrzymała.

Eben i Aurnia byli małżeństwem, ale lepiej, żeby trzymał się od niej z daleka, bo Rose z trudem znosiła jego obecność. Przez ostatnie cztery miesiące mieszkała z siostrą i Ebenem w pensjonacie przy Broad Street i jej łóżko było wciśnięte we wnękę przylegającą do ich sypialni. Starła się nie wchodzić szwagrowi w drogę, ale gdy Aurnia przytyła z powodu ciąży i zaczęła szybko się męczyć, Rose brała na siebie coraz więcej jej obowiązków w zakładzie krawieckim Ebena. Dostrzegając w zawalonej belami materiału pracowni ukradkowe spojrzenia szwagra, zauważała, jak często znajduje pretekst, by ocierać się o jej ramię i stawać zbyt blisko, kontrolując jej pracę, gdy szyła spodnie i kamizelki. Nie wspominała o tym siostrze, bo wiedziała, że Eben z pewnością wszystkiemu by zaprzeczył. I w rezultacie to Aurnia by cierpiała.

Wykręciła nad miską moką szmatkę i przykładając ją Aurni do czoła, pomyślała: Gdzie podziła się moja piękna siostra? W ciągu niecałego roku małżeństwa jej oczy straciły blask, a ogniste włosy przestały lśnić. Pozostała tylko smętna powłoka, zmatowiałe od potu włosy i twarz przypominająca beznamietną maskę.

Aurnia z trudem wydobyła rękę spod kołdry.

– Chcę, żebyś to wzięła – wyszeptwała. – Teraz, zanim zrobi to Eben.

– Co mam wziąć, kochanie?

– To. – Aurnia dotknęła medalionu w kształcie serca, który wisiał na jej szyi. Lśnił prawdziwym złotem i Aurnia nosiła go

w dzień i w nocy. Rose przypuszczała, że to prezent od Ebena. Kiedyś wystarczająco dbał o żonę, by dać jej taką kosztowną błyskotkę. Dlaczego nie zjawia się teraz, kiedy najbardziej go potrzebuje?

– Proszę, pomóż mi to zdjąć.

– Nie pora, żebyś się z tym rozstawiała – zaprotestowała Rose.

Ale Aurnia zdołała już sama zdjąć naszyjnik i położyła go siostrze na dłoni.

– Jest twój. Za to, że tak się o mnie troszczysz.

– Przechowam go dla ciebie i tyle. – Rose włożyła naszyjnik do kieszeni. – Kiedy będzie po wszystkim, kochanie, kiedy weźmiesz w ramiona swoje słodkie maleństwo, założę ci go z powrotem na szyję.

Aurnia uśmiechnęła się.

– Gdyby mogło tak być...

– Tak będzie.

Cichnący odgłos dzwoneczków obwieścił, że ksiądz skończył udzielać namaszczenia umierającej Bernadette i siostra Robinson pospieszenie przesuwała parawan, przygotowując miejsce dla następnych osób, które właśnie przybyły.

Wszyscy umilkli wyczekująco, gdy na oddziale położniczym pojawił się doktor Chester Crouch. Tego dnia towarzyszyła mu przełożona pielęgniarek, panna Agnes Poole, i orszak czterech studentów medycyny. Doktor Crouch zaczął obchód od pierwszego łóżka, które zajmowała kobieta przyjęta rano po dwóch dniach bezowocnych prób urodzenia dziecka w domu. Studenci stanęli półkolem i przyglądali się, jak doktor Crouch wsuwa rękę pod pościel, by dyskretnie zbadać pacjentkę. Krzyknęła z bólu, gdy włożył jej dłoń głęboko między uda. Kiedy wydobył rękę, miał zakrwawione palce.

– Ręcznik – poprosił i siostra Poole natychmiast mu go podała. Wylał rękę, po czym zwrócił się do czwórki studentów:

– Stan tej pacjentki się nie poprawia. Główka dziecka nie zmienia pozycji, a szyjka macicy nie rozszerzyła się wystarczająco. Jak w tym konkretnym przypadku powinien postąpić lekarz? Panie Kingston? Potrafi pan odpowiedzieć?

Pan Kingston, przystojny i wytworny młodzieniec, odparł bez wahania:

– Myślę, że wskazany byłby sporysz w herbacie souchong.

– Dobrze. Co jeszcze można by zrobić? – Lekarz skoncentrował wzrok na najniższym z czwórki studentów, podobnym do elfa chłopaku z dużymi uszami. – Panie Holmes?

– Można by zastosować środek przeczyszczający, aby pobudzić skurcze – odpowiedział natychmiast pan Holmes.

– Dobrze. A pan, panie Lackaway? – Doktor Crouch zwrócił się do jasnowłosego mężczyzny, którego przestraszona twarz natychmiast poczerwieniała. – Jak jeszcze można by postąpić?

– Ja... to znaczy...

– To pańska pacjentka. Co by pan zrobił?

– Musiałbym się nad tym zastanowić.

– Zastanowić się? Pański dziadek i ojciec byli lekarzami! Pański wuj jest dziekanem wydziału medycyny. Miał pan więcej kontaktów ze sztuką lekarską niż którykolwiek z pańskich kolegów. Ejże, panie Lackaway! Nie ma pan nic do dodania?

Młody człowiek pokręcił bezradnie głową.

– Przykro mi.

Westchnąwszy, doktor Crouch zwrócił się do czwartego studenta, wysokiego bruneta.

– Pańska kolej, panie Marshall. Co jeszcze można by zrobić w tej sytuacji? W przypadku rodzącej pacjentki, której stan się nie poprawia?

– Kazałbym jej usiąść albo wstać – odparł student. – Jeśli może chodzić, powinna przejść się po oddziale.

– Co jeszcze?

– To jedyne dodatkowe działanie, które wydaje mi się stosowne.

– A upuszczenie pacjentce krwi w celach leczniczych?

Chłopak milczał przez chwilę, po czym oświadczył stanowczo:

– Nie mam przekonania do skuteczności tej metody.

Doktor Crouch zaśmiał się zaskoczony.

– Pan nie ma przekonania?

– Na farmie, gdzie się wychowałem, eksperymentowałem z upuszczaniem krwi i stawianiem baniek. Straciłem równie dużo cielec bez względu na to, czy stosowałem tę metodę, czy nie.

– Na farmie? Mówi pan o upuszczaniu krwi krowom?

– I świniom.

Siostra Agnes Poole zaśmiała się drwiąco.

– Mamy tu do czynienia z ludzkimi istotami, a nie zwierzętami, panie Marshall – powiedział doktor Crouch. – Lecznicze upuszczanie krwi, jak wiem z własnego doświadczenia, całkiem skutecznie redukuje ból. Odpręża pacjentkę na tyle, że szyjka macicy ulega rozszerzeniu. Gdyby sporysz i środek przeczyszczający nie zadziałały, z pewnością zastosowałbym tutaj tę metodę.

Oddał zabrudzony ręcznik siostrze Poole i przeszedł do łóżka Bernadette.

– A co z nią? – spytał.

– Miała ciężką noc – odparła siostra Poole. – Gorączka spadła, ale wydzielina stała się cuchnąca.

Lekarz znów włożył ręce pod pościel, by obmacać wewnętrzne narządy pacjentki. Bernadette cicho jęknęła.

– Tak, ma chłodną skórę – przyznał. – Ale w tym przypadku...

– Zamilkł i podniósł wzrok. – Dostała morfinę?

– Kilka razy. Tak jak pan zalecił.

Gdy wyjął ręce spod pościeli, jego palce lśniły od żółtawego

śluzu. Pielęgniarka podała mu ten sam zaplamiony ręcznik.

– Podawajcie dalej morfinę – powiedział cicho. – Niech nie cierpi. – Brzmiało to jak wyrok śmierci.

Doktor Crouch wizytował oddział od łóżka do łóżka, od pacjentki do pacjentki. Kiedy doszedł do Aurni, ręcznik, w który wycierał ręce, był przesiąknięty krwią.

Rose wstała, żeby się z nim przywitać.

– Doktorze Crouch.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Panno...

– Connolly – powiedziała Rose, zastanawiając się, dlaczego ten człowiek nie może zapamiętać jej nazwiska. To ona wezwała go do pensjonatu, gdy Aurnia przez cały dzień i noc próbowała bezskutecznie urodzić dziecko. Była przy łóżku siostry za każdym razem, gdy Crouch robił obchód, a jednak zawsze sprawiał wrażenie, jakby jej nie poznawał. Tak naprawdę nigdy na nią nie patrzył. Pełniła tylko służebną rolę i nie była warta powtórnego spojrzenia.

Zwrócił się do siostry Poole:

– A jaki jest stan tej pacjentki?

– Chyba środki przeczyszczające, które przepisał pan wieczorem, wywołały intensywniejsze skurcze. Ale nie zastosowała się do zaleceń, żeby wstać z łóżka i chodzić po oddziale.

Wpatrując się w siostrę Poole, Rose z trudem trzymała język za zębami. Chodzić po oddziale? Czy oni oszaleli? Od pięciu dni Rose widzi, jak jej siostra coraz bardziej słabnie. Z pewnością pielęgniarka musiała zauważyć, że Aurnia z trudem może siadać, a co dopiero chodzić. Ale siostra Poole nie patrzyła nawet na pacjentkę. Wpatrywała się z uwielbieniem w doktora Croucha. Wsunął rękę pod pościel i gdy zaczął dotykać kanału rodowego, Aurnia tak rozpaczliwie jęknęła z bólu, że Rose ledwo się

powstrzymała, by go od niej nie odciągnąć.

Doktor Crouch wyprostował się i spojrzał na siostrę Poole.

– Worek owodniowy pękł, ale nie ma jeszcze pełnego rozwarcia. – Wylał rękę w brudny ręcznik. – Ile dni to już trwa?

– Dzisiaj jest piąty – odparła siostra Poole.

– Więc może należy podać jeszcze jedną dawkę sporyszu. – Chwycił Aurnię za nadgarstek i zbadał puls. – Ma przyspieszone tętno. I jest dzisiaj trochę rozgorączkowana. Upuszczenie krwi powinno schłodzić organizm.

Siostra Poole skinęła głową.

– Przygotuję...

– Już dość krwi jej upuściliście – wtrąciła się Rose.

Wszyscy zamilkli. Doktor Crouch podniósł na nią wzrok, wyraźnie zaskoczony.

– Pani jest krewną pacjentki?

– Siostrą. Byłam tu, gdy po raz pierwszy upuszczał jej pan krew, doktorze. A potem po raz drugi i trzeci.

– I widzi pani, jak dobrze jej to zrobiło – stwierdziła siostra Poole.

– Uważam, że nie.

– Ponieważ brak ci wiedzy, dziewczyno! Nie wiesz, na co zwracać uwagę.

– Mam ją leczyć czy nie? – warknął lekarz.

– Tak, ale nie wykrwawić jej na śmierć!

– Proszę trzymać język za zębami albo opuścić oddział, panno Connolly! I pozwolić lekarzowi robić to, co należy – powiedziała chłodno siostra Poole.

– Dzisiaj tak czy inaczej nie mam czasu na upuszczanie jej krwi.

– Doktor Crouch spojrzał wymownie na zegarek kieszonkowy. – Za godzinę mam spotkanie, a potem muszę przygotować wykład. Zajrzę do pacjentki rano. Może do tej pory panna... eee...

– Connolly – wtrąciła Rose.

– Panna Connolly dojdzie do wniosku, że dalsze leczenie jest konieczne. – Zamknął z trzaskiem kopertę zegarka. – Panowie, do zobaczenia na porannym wykładzie o dziewiątej. Dobranoc. – Skinął głową i ruszył do drzwi. Czterej studenci medycyny podążyli za nim jak posłuszne kaczątka.

Rose pospieszyła za nimi.

– Proszę pana? Pan Marshall, prawda?

Najwyższy ze studentów odwrócił się. Był to ciemnowłosy młodzieniec, który wcześniej zakwestionował celowość upuszczania krwi rodzącej matce i który powiedział, że dorastał na farmie. Wystarczył rzut oka na jego źle skrojony garnitur, by stwierdzić, że naprawdę pochodzi z uboższego środowiska niż inni studenci. Rose była dostatecznie długo szwaczką, by rozpoznać dobry materiał. Jego garnitur był kiepskiej jakości, a wełnianej tkaninie, szarej i zwyczajnej, brakowało połysku. Gdy pozostali studenci wychodzili z oddziału, pan Marshall spoglądał na Rose wyczekująco. Pomyślała, że ma zmęczone oczy i bardzo znużoną twarz jak na tak młodego człowieka. W przeciwieństwie do innych nie unikał jej wzroku, jakby uważał ją za równą sobie.

– Usłyszałam mimo woli, co mówił pan lekarzowi – powiedziała. – Na temat upuszczania krwi.

Młody człowiek pokręcił głową.

– Obawiam się, że mówiłem zbyt otwarcie.

– Ale czy to prawda? To, co pan powiedział?

– Opisałem tylko moje spostrzeżenia.

– Czy ja się mylę? Czy powinnam pozwolić, by upuszczał krew mojej siostrze?

Młodzieniec zawahał się. Zerknął niespokojnie na siostrę Poole, która przyglądała im się z wyraźną dezaprobatą.

– Nie mam kwalifikacji do udzielania rad. Jestem dopiero na pierwszym roku. Doktor Crouch jest moim wykładowcą i dobrym lekarzem.

– Widziałam, jak trzykrotnie upuszczał siostrze krew i za każdym razem słyszałam od niego i pielęgniarek, że jej stan się polepszył. Ale Bogiem a prawdą, nie dostrzegam żadnej poprawy. Codziennie widzę tylko... – Urwała. Głos jej się załamał, gardło miała ściśnięte od łez. Po chwili dodała cicho: – Pragnę jedynie tego, co najlepsze dla Aurni.

– Pyta pani studenta medycyny? – wtrąciła się siostra Poole. – Sądzi pani, że on wie lepiej niż doktor Crouch? – Prychnęła pogardliwie. – Równie dobrze mogłaby pani zapytać chłopca stajennego – dodała, wychodząc z sali.

Przez chwilę pan Marshall milczał. Dopiero gdy siostra Poole opuściła oddział, odezwał się i jego słowa, choć spokojne, potwierdziły najgorsze obawy Rose.

– Nie upuszczałbym jej krwi – powiedział cicho. – To nie pomoże.

– Co by pan zrobił, gdyby chodziło o pana siostrę?

Młodzieniec spojrzał ze współczuciem na śpiącą Aurnię.

– Pomógłbym jej siadać na łóżku. Zastosowałbym zimne okłady na gorączkę i morfinę na ból. Zadbałbym przede wszystkim, żeby dostawała dość pożywienia i płynów. I niósłbym jej pociechę, panno Connolly. Gdyby moja siostra tak cierpiała, to właśnie bym jej zapewnił. – Spojrzał na Rose. – Pociechę – powtórzył ze smutkiem i wyszedł.

Rose otarła łzy i wróciła do łóżka Aurni, mijając kobietę wymiotującą do miski, a potem drugą, z nogą czerwoną i opuchniętą od róży. Kobiety, które rodziły i cierpiały. Za oknem padał zimny listopadowy deszcz, ale tutaj, przy palącym się w piecyku drewnie i zamkniętych oknach, powietrze było ciężkie, duszne i przesycone chorobą.

Czy popełniłam błąd, że ją tu przywiozłam? – zastanawiała się Rose. Czy powinnam zatrzymać ją w domu, gdzie nie musiałyby słuchać przez całą noc tych potwornych krzyków i budzących

litość jęków? Pokój w ich pensjonacie był ciasny i zimny, więc doktor Crouch zalecił, by umieścić Aurnię w szpitalu, gdzie mógł się nią łatwiej zajmować.

– W przypadku takich ubogich osób jak pani siostra koszty wynoszą tylko tyle, na ile może sobie pozwolić rodzina. – Obiecywał, że będzie miała zapewnione ciepłe posiłki i opiekę zespołu pielęgniarek i lekarzy.

Ale o tym nie wspomniał, pomyślała Rose, spoglądając na rząd łóżek z cierpiącymi kobietami. Jej wzrok spoczął na Bernadette, która leżała teraz w milczeniu. Rose podeszła do niej powoli, wpatrując się w dziewczynę, która zaledwie pięć dni temu trzymała ze śmiechem w objęciach nowo narodzonego syna.

Bernadette przestała oddychać.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).